

ROZDZIAŁ I

POŻEGNANIE

– Spakuj swoje rzeczy, ale tak, żeby nikt nie widział. Rano, jak wszystkie będą na mszy, wymkniemy się po cichu.

– Myślisz, że się uda?

– Uda się na pewno.

– A jeśli zaczną nas szukać przed mszą?

– Coś ty! To niemożliwe. Pomyślą, że zaspaliśmy i dopiero po medytacji przyjdzie przełożona, żeby sprawdzić, co się stało.

– Boję się.

– Ja też, ale wolę uciec, niż stanąć przed nią i powiedzieć, że odchodzę. Psychicznie nie dam rady.

Młodsza rozplakała się bezgłośnie. Łzy leciały jej po policzkach, twarz wygięła się w grymasie cierpienia, lecz z ust nie wydobył się nawet najcichszy szloch. Trudna, lecz konieczna do opanowania sztuka wyrażania własnego bólu tak, by nikt idąc korytarzem obok twojej celi, nie domyślił się, co przeżywasz. W klasztorze się nie płacze. W klasztorze jest się szczęśliwym.

Na dworze było jeszcze ciemno, gdy dwie postacie w zakonnych habitach z dużymi podróżnymi torbami wyszły z klasztornej bramy i szybkim krokiem podążały w stronę pobliskiego przystanku autobusowego. W tym samym czasie z kaplicy zakonnej dochodził śpiew: *„Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary... ”*. Przełożona Izydora raz po raz dyskretnie zerknęła w stronę pustych kłęczników.

– Znowu zaspaly – przemknęło jej przez myśl. – Te młode są takie słabe, ale tego absolutnie nie można tolerować. Muszę im koniecznie zwrócić uwagę.

Przerwała swoje wywody na temat niedoskonałości swoich podwładnych, uświadamiając sobie, że jest na mszy i myśleć teraz należy o Bogu. Dopiero po śniadaniu, już energicznym pukaniem do celi siostry Ireny chciała dać do zrozumienia, że pod jej rządami nie może być takiego niezdiscyplinowania. Przecież wszyscy wiedzą, że msza święta, medytacja i brewiarz to codzienny chleb dla duszy... a kto nie je, umiera duchowo. Nacisnęła klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi. Pokój był pusty. Na wzorowo zasłanym łóżku poukładane w kostkę leżały zakonne ubrania Ireny, a na nich kartka.

ODESZŁYŚMY. PROSIMY NAS NIE SZUKAĆ.

IRENA I ALINA

Przełożoną jakby piorun przeszył od stóp do głów.

– Odeszłyśmy... odeszłyśmy... Co to takiego? – drżącymi ustami powtarzała bezwiednie, jakby zupełnie nie rozumiejąc treści wypowiedzianego słowa. Szare komórki przetworzyły wreszcie przeczytaną informację, która wypłynęła teraz w postaci zduszonego szeptu.

– Uciekły!... Uciekły!... Ale dlaczego?!

Trochę jak we śnie, szła w stronę celi siostry Aliny. Jeszcze przez moment łudziła się, że to jakieś nieporozumienie, ale widok pustego pokoju upewnił ją, że dwie jej podwładne opuściły zgromadzenie bez słowa wyjaśnienia i bez pożegnania. Usiadła, wbrew przepisom, na łóżku Aliny i łapiąc powoli oddech, zaczęła analizować zaistniałą dla niej nową sytuację. Przede wszystkim, trzeba ten fakt niezwłocznie zgłosić wielkiej matce prowincjalnej. Zacznie się przesłuchanie, dochodzenie, szukanie winnych. Przełożona otarła krople potu z czoła na myśl o tym, co ją czeka. Pewnie zdejmą ją z przełożęństwa i będzie musiała wrócić do szeregu. Już słyszała w swojej wyobraźni stawiane jej zarzuty, że nie dopilnowała, że źle rządziła. Z dalszą karierą może się pożegnać. Ten fakt zabolął ją najbardziej, bo przecież tak bardzo się starała, a teraz przez te dwie smarkule wszystko stracone. Dwie duże lzy popłynęły po policzkach przełożonej Izydory i natychmiast zostały skrupulatnie wytarte rękawem habitu. Twarz przybrała wyraz

świętej powagi. Powoli wstała z łóżka i odruchowo wygładziła zgnieciony lekko koc w miejscu, gdzie siedziała. Idąc korytarzem do swojej celi układała w myślach relację, jaką zda wyższemu przełożonemu, na temat odejścia dwóch siostr z jej wspólnoty.

– Nie pójdiesz... Nie pójdiesz... – pani Zawadzka nerwowo wycierała nos chusteczką. Łzy napływały jej co chwila do oczu.

– Pójdę – odpowiedziała Anna spokojnie. Widziała, że zadaje matce ból.

– Nie pójdiesz!... Słyszysz! Zabraniam ci! – słowa matki stawały się coraz bardziej rozpaczliwe.

– Mam prawie dwadzieścia lat i sama mogę już decydować o swoim losie. Ja chcę tam iść.

Głos Anny był spokojny, ale stanowczy.

– Dlaczego?... Popatrz, całe życie przed tobą... – rodzicielka spróbowała teraz innej metody. – Jesteś inteligentna, ładna, zgrabna, taka pełna życia, cały świat przed tobą, a ty chcesz się żywcem pogrzebać? Ubrać w czarne szmaty, zamknąć jak w więzieniu? Dziecko, zastanów się... Słuchaj... a może ty się nieszczęśliwie zakochałaś?... Powiedz mi. Znajdziemy jakieś wyjście – słaba nadzieja zagościła na chwilę w głosie matki.

– Mamo, daj spokój... Nie zakochałam się w człowieku, tylko w Bogu... Wiem, że to trudno zrozumieć – Anna zdawała sobie sprawę, że wszelkie jej tłumaczenia i tak spełzną na niczym.

– Słuchaj, tak kochasz konie... Załatwię ci pracę w stadninie. To było zawsze twoim marzeniem. Co ty na to?

Anna wzięła głęboki oddech i przerywając matce, wypowiedziała najtrudniejsze dla nich obydwu słowa:

– Pojutrze wyjeżdżam... – chciała dodać „... do klasztoru”, ale głos uwiązał jej w gardle. Pomyślała, że lepiej nie wymawiać tego słowa... matczyne serce i tak już obficie krwawiło.

– Zabijasz mnie tym!! – fala gniewu zrodzonego z ogromu bólu przysłoniła na chwilę umysł matki.

– Wołałabym cię widzieć w trumnie niż tam!

– Mamo, co ty mówisz?!

Tak mocnych słów nie spodziewała się usłyszeć. Pani Zawadzka osunęła się na fotel i głośno płakała. Anna szybko włożyła buty i wy-

szła z domu. Chciała być teraz sama. Wiedziała, że matka zachowywała się tak dlatego, że bardzo ją kocha i że w swoich marzeniach widziała ją na studiach, z mężem i dziećmi. Ileż to razy, gdy rozmawiały o przyszłości, snuła cudowne wizje jej dalszego życia. A teraz cały ten sielankowy świat marzeń leżał w gruzach nieodwołalnie. Decyzję o wstąpieniu do klasztoru Anna podjęła jakieś pół roku temu. Nie mówiła o tym nikomu, bo, swoją drogą, nikomu nie przyszłoby do głowy, że ona mogłaby coś takiego zrobić. Każda inna, ale nie ona! Urodę miała po ojcu, który z pochodzenia był Niemcem, charakter po babce Argentynce. Ciemna blondynka o niedużych lazurowych oczach, pełna temperamentu i życiowej energii, która ją po prostu rozsadzała. Tysiące pomysłów rodziło się w jej głowie i zaraz z zapalem starała się je realizować. Pani Zawadzka, patrząc na dorastającą córkę, z niepokojem, a czasem wręcz ze strachem przyjmowała jej wyczyny. Jak choćby wtedy, gdy zabrała się za ćwiczenie karate. Z treningów wracała potłuczona, zmęczona, ale zadowolona. Z entuzjazmem opowiadała i pokazywała, jakich nowych kopnięć czy bloków się nauczyła. To był jej żywioł. Na nic zdały się zakazy, prośby i groźby. Anna wysłuchiwała cierpliwie protestów matki, a potem i tak robiła swoje. Najchętniej zakładała dresy i biegła do lasu, gdzie razem z chłopakami doskonalili swoje sportowe umiejętności. Uprosiła matkę, by z białego płótna żeglarskiego, przeznaczonego na kostium dla niej, uszyć strój treningowy zwany karategą. Pani Zawadzka przeżyła to ciężko, ale i tak największy cios spotkał ją rok później. Na uwagi mamy, że mogłaby bardziej zadbać o swój wygląd zewnętrzny, wzruszała ramionami lub lekceważąco machała ręką, mówiąc, że nie ma na to czasu. Matka nie dawała jednak za wygraną i widząc, że nie da rady zaciągnąć córki do sklepu z odzieżą, sama dokonała zakupu, tak na oko, ale strzał był w dziesiątkę. Biało-granatowa letnia sukienka do kolan prezentowała się znakomicie. Do tego białe buciki na obcasie. Nawet Anna przeglądając się w lustrze, stwierdziła, że wygląda świetnie. Pani Zawadzka odetchnęła z ulgą. Wreszcie jej latorośl będzie wyglądała, jak przystoi panience w jej wieku. Z niecierpliwością czekała na święto Bożego Ciała, by swoją córkę pokazać światu, czyli rodzinie i znajomym. A córka na ostatnim treningu, czyli dwa dni przed świętem, postanowiła popracować nad blokami. Dwie godziny intensywnie obtłukiwała swoje przedramiona i piszczęły. W Boże Ciało siniaki ukazały się w całej

pełni. Kiedy rano stanęła przed matką w nowej sukience, ta aż usiadła z wrażenia. Granatowy materiał pięknie podkreślał posiniaczone ręce i nogi.

– Nie możesz iść w tej sukience – stwierdziła załamana pani Zawadzka. – Przecież ludzie pomyślą, że to ja cię tak pobilałam.

Anna śmiała się tylko. Tak naprawdę, było jej zupełnie obojętne, w co będzie ubrana i co powiedzą ludzie. Stosunek matki do treningów karate zmienił się trochę w pewną niedzielę, gdy dwa duże żeberka nie chciały się zmieścić do garnka. Wtedy to pani Zawadzka obudziła śpiącą do późnych godzin południowych Annę. Stanęła w drzwiach pokoju, trzymając w rękach kości.

– Nie mieszczą się do garnka. Może byś coś z nimi zrobiła, bo nie mam tasaka.

Anna popatrzyła trochę jeszcze nieprzytomnym wzrokiem.

– Czemu nie? Możemy spróbować.

Na treningach rozbijała już cegły, więc i z kośćmi nie miała większego problemu. Mama była bardzo wdzięczna za uratowanie obiadu i od tej pory przychylniejszym okiem patrzyła na wyczyny córki, od czasu do czasu wykorzystując jej umiejętności do celów gospodarczych. Zwłaszcza że starszy syn miał zupełnie nie męski charakter. Pięknie grał na gitarze i całkiem dobrze piekł ciasta, dlatego też po pewnym czasie Pani Zawadzka zorientowała się, że większy pożytek, na przykład w pracy na działce, będzie miała z córki niż z syna. Anna nie miała nic przeciwko temu. Chętnie rozrzucała gnój, kopala ziemniaki czy właziła na drzewa, by pozrywać jabłka, byle tylko nie musiała pitrasić w kuchni i chodzić do sklepów z ciuchami.

Jesień zbliżała się szybkimi krokami. Wiatr niósł już w sobie przenikliwe zimno, a na dodatek zaczął padać drobny deszczyk. Anna trochę zmarzła, ale miała nadzieję, że kiepska pogoda zatrzyma jej znajomych w domach. Rozmowa z kimkolwiek w tej sytuacji byłaby niezręczna. Nie chciała kłamać, a obnosić się ze swoją decyzją też nie miała ochoty. Przyjdzie czas, to sami się dowiedzą. Skierowała swe kroki do parku, a potem do pobliskiego lasu, gdzie często chodziła poćwiczyć. Dlaczego chciała iść do klasztoru? Jej przygoda z Bogiem zaczęła się bardzo wcześnie, bo już w klasie piątej szkoły podstawowej zaczęła zastanawiać się, czy Bóg naprawdę istnieje? Pewnego dnia,

idąc na lekcje religii, która odbywała się w przykościelnej salce, zatrzymała się na środku drogi, uderzona myślą, że może Boga w ogóle nie ma! Postawiła krok naprzód i powiedziała sobie w duchu.

– On jest... bo wszyscy wokół tak mówią.

Postawiła następny krok i powróciła myśl, że jednak Jego nie ma... a to wszystko ludzie sobie sami wymyślili. Kolejny krok.

– Ale po co budowałiby tak wielkie kościoły dla kogoś, kogo nie ma? On jest.

Kolejny krok naprzód.

– Kościoły są stare... a dawniej ludzie byli zafocani. Jego nie ma.

Ostatecznie rozgrywka o istnienie Boga wynosiła wtedy: 50% na „tak” i 50% na „nie”. Dziecięce zabawy i lekcje w szkole na jakiś czas odwróciły jej uwagę od spraw duchowych. Dopiero będąc w ósmej klasie przeżyła swoje pierwsze głęboko duchowe spotkanie z Bogiem. Wracając z miejskiej biblioteki z kilkoma książkami pod pachą. Był pochmurny, dżdżysty dzień i wokół ani jednego człowieka. Kiedy przechodziła koło starej brzozy stojącej przy drodze, w jej umyśle niespodziewanie pojawiło się pytanie. „Kim jestem?”

– Ja jestem... jestem kimś innym niż moja mama, moje przyjaciółki, koledzy, znajomi. To ja myślę, patrzę, czuję. Jestem kimś jedynym, niepowtarzalnym w całym świecie. Wieczorem walka w jej duszy nasiliła się bardzo. Siedząc na podłodze, oparta o fotel, szukała w swoim wnętrzu Boga.

– Jeśliś jest, odezwij się! – błagała, krzyczała, groziła, że skończy z sobą, jeżeli nie da jej jakiegoś znaku. Czuła, że reszta jej życia zależeć będzie od tego, czy On jest. Była już całkowicie wyczerpana duchowym zmaganiem, gdy w pewnym momencie poczuła Jego obecność! Tak jakby ktoś, do kogo intensywnie dzwonił, wreszcie podniósł słuchawkę. I nawet jeżeli nie powie ani słowa, to wiesz, że ten ktoś podniósł ją, przyłożył do ucha i słyszy każde twoje słowo, każdy szept. To właśnie wydarzyło się tego wieczoru we wnętrzu Anny. Bóg „podniósł słuchawkę”. Następnego dnia była już inną osobą. „Słuchawki”, którą Bóg podniósł, już więcej nigdy nie odłożył. Prowadził ciągły nasłuch. Zachwyciła się Nim. Czuła Jego cudowną miłość, podziwiała Jego wszechmoc. Wreszcie jej wewnętrzna duchowa droga znalazła swój początek. Przyszedł czas na czytanie Biblii, na rozmowy z katechetką, pielgrzymki, rekolekcje. Wiedziała już, że Bóg jest,

teraz szukała odpowiedzi na pytanie: „Jaki On jest?”. Kilka miesięcy przed maturą uświadomiła sobie, że chce być tylko z Nim. Po maturze, w czasie wakacji wybrała klasztor i ustaliła termin wstąpienia. Zdawała sobie sprawę, że mama domyśla się, co z nią się dzieje. Jednak nigdy, aż do dzisiejszego popołudnia, nie padło na ten temat z żadnej strony ani jedno słowo.

– Cześć! – zadyszany głos Piotra wyrwał ją z zamyślenia.

– Biegasz w taką pogodę? Jeszcze dostaniesz zapalenia płuc.

Anna starała się ukryć wewnętrzny nastrój, ale wiedziała, że z Piotrem nie pójdzie jej łatwo. Zbyt dobrze się znali. Wspólne treningi sprawiły, że odbierali na tych samych falach.

– Dawno cię nie widziałem. Co u ciebie słychać? Coś mizernie wyglądasz.

Wnikliwe spojrzenie Piotra rozkleiło ją zupełnie. Był przyjacielem, lecz mimo to trudno było wyznać prawdę.

– Wyjeżdżam pojutrze do klasztoru.

– Znowu jakieś zwariowane rekolekcje. Daj sobie z tym spokój, bo to się źle skończy, mówię ci.

Ich spojrzenia spotkały się. Piotr zamarł.

– Chyba nie mówisz poważnie?!

Anna skinęła głową. Próbowала się uśmiechnąć, ale jakoś nie bardzo jej to wychodziło. Miała jeszcze przed oczami zapłakaną mamę.

– Pójdę już, bo zrobiło się naprawdę zimno. Cześć – obróciła się na pięcie i szybkim krokiem poszła w stronę domu, zostawiając na środku drogi totalnie zaskoczonego Piotra.

Pani Zawadzka, ciągle jeszcze szlochając, poszła do kuchni, by przygotować kolację. Wszystko leciało jej z rąk. Najmłodsza pociecha, Kasia, przytuliła się do niej. Po chwili otarła matczyne oczy i powiedziała z całym tupetem swych dziewięciu lat.

– Mamo, ty nie płacz, tylko weź pasek i tak ją mocno zbij, żeby ona nigdzie nie pojechała.

Pani Zawadzka mimo wszystko uśmiechnęła się.

– Kasiu, to nic nie da. Ona jest już dorosła, a zresztą skąd ci to przyszło do głowy?

W ich domu nie stosowano kar. Całe wychowanie opierało się na wspólnych rozmowach, co prawda czasami z różnym skutkiem, ale ni-

gdy nie stosowano żadnej przemocy. Jak mawiała pani Zawadzka: – „Najmocniej trzymają luźne lejce”. Niczego dzieciom nie zabraniała. Musiały tylko mówić, gdzie wychodzą i kiedy wrócą. Najczęściej po powrocie same opowiadały, co przeżyły, i wtedy delikatnie pomagała im zweryfikować postawy moralne, co było dobre, a co złe. Chciała, aby jak najszybciej same nauczyły się dokonywać właściwych wyborów. Każde z jej trójki dzieci było inne. Krzysztof cichy, spokojny-typowy domator, Kasia – najmłodsza – uwielbiała się stroić. Często bawiła się w szkołę. Sadzała wtedy swoje lalki na podłodze i zaczynała prowadzić lekcje. Anna była z nich wszystkich najbardziej nieprzewidywalna. Jej szalone pomysły nie raz wprawiały w osłupienie całą rodzinę. Jak choćby wtedy, gdy przez noc namalowała olejną farbą na ścianie pokoju konia w naturalnych rozmiarach. Innym razem przyniosła worek piasku, który stał na środku jej pokoju, jako worek treningowy. Pani Zawadzka po którymś z kolejnych wyczynów Anny oświadczyła:

– Jeżeli kiedyś usłyszysz dzwonek i otworzę drzwi, a ty tam będziesz stała na głowie, to wcale się nie zdziwię.

Po tych słowach matki, Anna poczuła się urażona. W jej odczuciu wszystko, co robiła, miało sens i dziwiła się, że inni nie potrafią go dostrzec.

W dniu wyjazdu pani Zawadzka niewiele mówiła. Przytuliła córkę po raz ostatni i wcisnęła do ręki parę złotych.

– Masz tu pieniądze i bilet do Warszawy, tak jak chciałeś, na dziś, a tu... powrotny... na wypadek, gdybyś jednak zmieniła zdanie. I nie miej mi za złe, że cię nie odprowadzę do pociągu. To ponad moje siły.

Piotr przyniósł kwiaty. Nie bardzo wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. W końcu zaczął się wygłupiać, co było zupełnie do niego niepodobne, ale dzięki temu atmosfera trochę się rozluźniła. Dwie stare przyjaciółki, Iwona i Halina, nie ukrywały żalu. Anna chciała, by to całe pożegnanie zakończyło się jak najszybciej. Czuła się trochę jak na własnym pogrzebie. Ci wszyscy ludzie wokół niej byli jej bliscy, lecz w tym momencie nie rozumiała ich smutku. Ona znalazła Boga, szczęście. Z wewnętrzną radością, która z niej emanowała, wsiadała do pociągu, który miał ją zawieźć ku nieznaney przyszłości, pełnej tajemniczego piękna, pociągającego tylko ją.

ROZDZIAŁ II

PIERWSZE KROKI

Klasztor zaszyty wśród leśnej ciszy. Z dala od ludzkiego zgiełku, warkotu samochodów i wszelkich przyziemnych spraw. Ogromny budynek, przypominający stary zamek. Wokół piękny ogród otoczony wysokim murem. Anna weszła na podwórkę. Wszędzie panował idealny porządek. Pomimo jesiennej pory nigdzie nie było widać opadłych liści. Widocznie tuż przed jej przyjściem ktoś pozamiatął. Była coraz bliżej klasztornej furty, a nigdzie nie zauważyła żadnej zakonnicy. Nacisnęła dzwonek raz i drugi, lecz nikt nie otwierał. Usiadła na schodach. Teraz dopiero, jakby z oddali, usłyszała śpiew.

– Pewnie modlą się wspólnie – przyszło jej do głowy. Po kwadransie spróbowała ponownie dać o sobie znać. Tym razem zgrzytnięcie klucza w zamku było niezawodnym znakiem, że klasztor otwiera swe podwoje.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Pani do kogo i w jakiej sprawie? – uśmiechnięta młoda siostra stała w uchylonych drzwiach.

– Ja do klasztoru. Miałam dziś przyjechać z rzeczami. Ten termin podała mi siostra prowincjalna.

– Proszę do środka.

Pomogła Annie wnieść walizkę i wprowadziła ją do jednego z gościnnych pokoi.

– Niech pani tu zaczeka, powiadomię siostrę prowincjalną o pani przyjeździe.

Uśmiechnęła się znowu i znikła za drzwiami.

Pokój umeblowany był antykami. Wszystko tchnęło prostotą i czystością. Po minucie pukanie do drzwi wyrwało Annę z procesu wchłaniania nowych wrażeń. „Uśmiechnięta” referowała:

– Siostra prowincjalna teraz jest zajęta, później do pani zejdzie. Zaraz podam śniadanie. Proszę się rozgościć.

Skromne śniadanie – chleb z wędliną i kawa zbożowa z mlekiem smakowały znakomicie. Anna czuła się lekko skrępowana w tym jej „Nowym Domu”, jak go już w myślach nazywała. Podłoga pachniała świeżą pastą, antyczne meble i cisza tworzyły atmosferę żywego skansenu. Jej zamyślenie przerwało ciche pukanie do drzwi i nim zdążyła powiedzieć „proszę”, otworzyły się i stanęła w nich starsza wiekiem zakonnica. Łagodny wyraz twarzy podkreślał delikatny uśmiech. Spod okularów patrzyły na Annę mądre oczy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – pozdrowiła cichym głosem.

– Na wieki wieków. Amen – odpowiedziała Anna i uśmiechnęła się serdecznie. Podali sobie dłonie na przywitanie.

– Usiądźmy – zaproponowała siostra. – Więc to ty jesteś tą Anią, która chce wstąpić do naszego zgromadzenia.

Przyglądała się jej wnikliwie, ale z wyraźną nutką sympatii. Anna skinęła głową.

– Nazywam się siostra Klaudia i zastępuję siostrę prowincjalną. Czy mogłabyś mi troszkę o sobie opowiedzieć? Chciałabym cię lepiej poznać.

Anna zastanowiła się przez chwilę.

– Pochodzę z niedużego miasteczka na Pomorzu. Mam dwoje rodzeństwa: starszego o pięć lat brata i młodszą o dziesięć lat siostrę. Mieszkamy z mamą. Ojciec odszedł od nas, gdy miałam dziewięć lat. Nie utrzymuję z nim kontaktu. W tym roku zdałam maturę i teraz chcę wstąpić do klasztoru.

Chciała coś jeszcze dodać, bo ten życiorys wydał się dziwnie krótki, ale Siostra Klaudia, która słuchała wszystkiego bardzo uważnie, wpadła jej w słowo.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego chcesz zostać siostrą zakonną? – Pytanie miało wyraźny akcent na słowie „dlaczego?”

– Chcę należeć do Boga. . . tak całkowicie – dodała po chwili kandydatka na zakonnice, trochę zdziwiona, że zadano jej pytanie dotyczące tak oczywistej sprawy. Przecież nie przysłaby tutaj, gdyby nie ta cała historia z Bogiem, która jej się przydarzyła.